

„Latarnik” – miejsce z duszą

Jak podają najstarsze kroniki miasta, w zamierzcztych dziejach Czeladzi, nad brzegiem spławnej wówczas Brynicy, na tzw. Łęgu, stała drewniana latarnia sygnalizacyjna, zwana latarnią morską. Oświetlała drogę kupcom i gospodarzom, przewożącym rzeką swoje towary i plony, a także żerzenie założone przez bobry w górnej części rzeki. Swoją funkcję pełniła do początku XIV wieku, jednak jej szczątkowa już konstrukcja przetrwała do początku XVIII wieku*. Latarni nie ma od dawna, ale kilka lat temu pojawił się „Latarnik” – antykwariat swą nazwą nawiązujący do dawnych czasów i z misją oświetlania tego, co ważne.

— Latarnik raczej kojarzy się z kimś samotnym, a ten antykwariat jest tego zaprzeczeniem. W moim odczuciu to nie jest zajęcie dla samotników, lecz praca z ludźmi. Nazwa wzięła się stąd, że chcieliśmy „krzewić” czytelnictwo i miłość do książek, być jak latarnik, ostoją dla mieszkańców. Okazało się, że ziarno padło na dobry grunt, dlatego jesteśmy bardzo mile zaskoczeni. Działamy od pięciu już lat i dorobiliśmy się liczного grona stałych bywalców. Jesteśmy tym bardzo zbudowani. Latarnia morską oświetla drogę i z daleka,

i z bliska. My koncentrujemy się na tej drugiej – opowiada **Wojciech Tarka**, właściciel antykwariatu. Bycie antykwariuszem mieści się raczej w kategorii „ginące zawody”. Pan Wojciech – absolwent dziennikarstwa, nota bene stawiający pierwsze studenckie kroki w tym zawodzie na praktykach w redakcji „Echa Czeladzi” (– Mam zachowane egzemplarze sprzed bodaj piętnastu lat – przyznaje mój rozmówca), jak musiał widzieć swoją przyszłość, by zamiast uganiać się za newsami do codziennej gazety czy innych mediów, wolał zostać antykwariuszem? Na to pytanie pan Wojciech ma taką odpowiedź:

– Jestem przykładem tego, że praca wynika z zamiłowania. Książki w moim życiu zawsze były bardzo ważne. Pewnie z domu wyniosłem miłość do nich: kiedy z bratem wracaliśmy ze szkoły do domu, to na pierwszym planie na stole stała jakaś zupa przygotowana przez mamę, a na drugim tata, który był górnikiem, przeważnie czytał książkę. Zresztą sam też bardzo dużo czytałem. Po latach wpadłem na pomysł, by połączyć pasję ze sposobem na życie.

Zauważam, że żeby dużo czytać, wcale nie trzeba być antykwariuszem. Trzeba chcieć zaszyć się w tym świecie. Stereotyp antykwariusza jest taki: wiekowy pan, znawca wszystkiego, w roboczym fartuchu wśród zakurzonych setek woluminów. A pan Wojciech proponuje zgoła odmienny wizerunek: – Podejmując się takiej pracy chciałem przełamać ten stereotyp. Dawnych antykwariuszy pamiętam z czasów, kiedy odwiedzałem antykwariaty w Katowicach, gdzie studiowałem. Góry książek, leciwy sprzedawca, no i wiedza... Ja chciałem mieć wszystko posegregowane, poukładane, a na półkach nie tylko książki sprzed lat, przekazywane z rąk do rąk. Zapropnowałem nieco odmienny sposób postrzegania tego zawodu. Obserwuję zresztą swoisty jego renesans wśród osób młodszego pokolenia. Trzeba iść z duchem czasu: łączyć stare, tradycyjne, otaczane swego rodzaju kultem z nowoczesnym spojrzeniem, komputeryzacją, marketingiem.

Tymczasem do antykwariatu wchodzi starsza pani i zmierza do witryny ze szkłem. Wybiera niewielką salaterkę. – Ile za to? – pyta. – 15 zł – odpowiada pan Wojciech i dodaje: to jedna z moich stałych klientek.

– Ja jak tu przyjdę, to zawsze muszę sobie coś kupić... – dodaje starsza pani.

Tym razem wpadł jej w oko gustowny wrzosowy, niewielki szklany półmisek. Czy to nostalgia za latami młodości, bo zapewne zachodząc od czasu do czasu do pana Wojciecha nie kieruje się modą na „PRL-owskie szkło”.

– Mój antykwariat to nie tylko książki – kontynuuje naszą rozmowę właściciel. Chociaż to jest podstawa egzystencji. Staram się trafiać także do innych klientów, stąd dość sporo u nas dizajnu z czasów PRL – dziś niezwykle cenionego rzemiosła artystycznego, powstałego w latach 60. czy 70. minionego stulecia. Są to przedmioty wykonane w szkłe, glinkach i innych materiałach, tak modnych wówczas, a dziś poszukiwanych.

O szklanej kolekcji wzornictwa przemysłowego, eksponowanej w antykwariacie tak mówi: – Zbieramy te przedmioty razem z żoną. Były wyprodukowane głównie w Hucie Szkła w Żąbkowicach, ale mamy też zrealizowane wzory projektantów szkła z fabryk we Włocławku, Ćmielowie czy katowickiej fabryki Gische. Tak się stało, że wówczas produkowane masowo przedmioty codziennego użytku: wazon, salaterki, patery, karafki, filiżanki, talerzyki, słynne kolorowe ryby czy kurki i inne figurki, niegdyś powszednie, teraz uzyskują bardzo dobre ceny. Zdarzają się klienci, którzy pytają o konkretne wyroby lub autorstwa tego czy innego projektanta – to koneserzy. Jeśli ktoś chciałby rozstać się z tego rodzaju rzeczami, zapraszam do „Latarnika”. Odkąd mamy większy lokal, możemy lepiej ekspozycjonować szkło, które przecież wymaga dobrego światła.

– Czy takie miejsca z książkami się sprawdzają? – pytam. Mniejsze księgarnie już dawno zniknęły z rynku. Przecież wystarczy kliknąć daną pozycję



Zdjęcie: UNW/W. Konopieńska

w internecie i książkę dostarczy kurier. Można też pójść do wielobranżowego empiku i tam, w gąszczu półek, próbować znaleźć interesujące nas pozycje bądź inne przedmioty. Ale czy on ma duszę?

– Książka papierowa kupiona w spokoju i ciszy swoją duszę – odpowiada mój rozmówca. Staram się znać swoich klientów i czytelników, rozmawiać z nimi. Księgarnie sieciowe są anonimowe – zarówno sprzedawca (obsługa to jednak przede wszystkim handlowcy), jak i klient. U mnie jest różnorodna literatura. W 95% są to książki używane, ale staram się, żeby były w bardzo dobrym stanie, mimo że już miały poprzedniego właściciela – dodaje.

– Trafiają się cymelia? – pytam o to, co w antykwaracie najcenniejsze.

– Bardzo rzadko. Dzisiaj można inwestować w książki tak samo jak w sztukę. Ostatnio trafiło do mnie trzytomowe, przedwojenne wydanie dzieła „Polska, jej dzieje kultura”. To dziś rzadko spotykana pozycja. Najstarszą rzecz jaką mamy są XVIII-wieczne kazania, oczywiście po łacinie. Ich wartość rynkowa nie jest duża, ale sentymalna – wysoka.

W obszarze nie tylko księgarskich zainteresowań pana Wojciecha szczególnie miejsce zajmuje Zagłębie Dąbrowskie a zwłaszcza Czeladź, bo sam jest – co z dumą podkreśla – czeladzianinem z dziada pradziada.

– Przeglądam różne platformy internetowe w poszukiwaniu



archiwaliów. Niestety, z tymi dotyczącymi Czeladzi nie jest dobrze. Udało mi się zgromadzić kolekcję przedwojennych pocztówek, kilka prawdziwych cymesów z fabryki „Józefów”, no i wydawnictwa bieżące ukazujące się w mieście. Zbieram też stare zdjęcia – to nie jest już takie proste – wylicza pan Wojciech.

– Jaka jest procedura sprzedaży książek przez klientów?

– Po uprzednim telefonie albo ja jadę do klienta i wybieram interesujące mnie książki, albo klient przychodzi tutaj, podpisujemy umowę, płacę gotówką.

Z kasetami i karafką nadszedł w trakcie naszej rozmowy kolejny stały klient „Latarnika”. Pan Wojciech ożywił się na jego widok. Wyjętą z foliowej torby karafkę zaraz umieścił w stosownym miejscu na wystawie.

– Zapraszam też dzieci – mam fajną, bardzo tanią ofertę dla nich – zachęca. Nowe są znacznie droższe, a dzieciom przeczytane książki się nudzą. Można zajrzeć do skrzynki i coś sobie wybrać. Dużą popularnością cieszą się komiksy – te starsze jak „Kajko i Kokosz” czy „Kapitan Kloss”. Kupują je albo już doświadcz-

ni kolekcjonerzy, albo młodzi tatusiowie, którzy chcą przekonać swoje dzieci do lektur swojej młodości. Często udaje się im ta sztuka i pytają o kolejnego „Tytusa, Romka i A”Tomka”. Mam też sporo gier planszowych.

W antykwaracie dostępne są również płyty winylowe – to ich wielki powrót. – Mamy w ofercie trochę polskiego i zagranicznego rocka, klasyki, kolędy. W wolnych chwilach w domu z żoną słuchamy tych płyt na starym odtwarzaczu. Jest atmosfera... – dopowiada.

Do „Latarnika” przy ulicy Szpitalnej można wstąpić po drodze, sięść przy stoliku albo w fotelu, przejrzeć książki, zagadać do pana Wojciecha – zyczliwego dla odwiedzających jego przystań. A potem przyjdzie się tu jeszcze raz i jeszcze raz...

WIESŁAWA KONOPELSKA



⁽¹⁾O latarni sygnalizacyjnej nad brzegiem Brynicy pisał Józef Łyżwiński w swojej książce „Zaręczce” (MBP Czeladź 2006, s. 27). Według jego zapisków, w których powoływał się na historyczne teksty Mariana Kantora-Mirskiego, latarnia była potężną, drewnianą konstrukcją z drewna dębowego. Nie wiadomo kiedy powstała, jednak już w I połowie XIV wieku zaprzestano pełnienia w niej dyżurów. Resztki nieużywanej latarni „zabrała wielka woda” czyli wezbrane nurty Brynicy po padającym przez 73 dni ulewnym deszczu, jaki nawiedził Czeladź i okolice w 1736 roku. W czasie II wojny światowej, w miejscu gdzie stała latarnia, kopalnia „Saturn” wybudowała magazyn materiałów wybuchowych tzw. prochownię.